

A woman with long, dark, flowing hair is running away from the viewer on a long, narrow wooden pier. She is wearing a light-colored, sleeveless dress. The pier is made of wooden planks and has dark wooden posts on either side. In the background, the Chrysler Building is visible against a bright, hazy sky. The overall color palette is warm, dominated by reds and oranges.

# GUILLAUME MUSSO

## JUTRO

ALBATROS

# 1

## Pośród duchów

*To nie w lustrze widzimy swoje prawdziwe odbicie, tylko w oczach innych.*

TARUN J. TEJPAL

**Uniwersytet Harvarda  
Cambridge  
19 grudnia 2011**

Aula pękała w szwach, ale panowała cisza.

Wskazówki na brązowej tarczy starego zegara ściennego wskazywały godzinę 14.55. Profesor Matthew Shapiro kończył wykład z filozofii.

Siedząca w pierwszym rzędzie dwudziestodwuletnia Erika Stewart wpatrywała się w niego intensywnie. Dosłownie spijała słowa z jego ust i przytakiwała każdemu zdaniu, starając się bezskutecznie zwrócić na siebie uwagę wykładowcy. Mimo obojętności, z jaką profesor przyjmował jej awanse, dziewczyna była z każdym dniem coraz bardziej nim zafascynowana.

Miał młodą twarz, krótko ostrzyżone włosy i lekki zarost. Nie można było zaprzeczyć, że emanował z niego urok, który

wzbudzał poruszenie wśród studentek. Profesor nosił sprane dżinsy, skórzane buty i sweter z golfem, dlatego wyglądał bardziej jak student niż wykładowca, zwłaszcza w porównaniu z częścią kolegów — surowych i zasadniczych — których spotkać można było na terenie kampusu. W sumie jednak to raczej jego elokwencja niż przystojna twarz tak wszystkich zniewalała.

Matthew Shapiro był jednym z najpopularniejszych profesorów tego uniwersytetu, odkąd pięć lat temu zaczął wykładać w Cambridge. Studenci dowiadawali się o nim pocztą pantoflową i z każdym rokiem na jego zajęciach zjawiał się coraz liczniejszy tłum, aż w końcu musiano je przenieść do największej auli Sever Hall, gdy w tym trymestrze zapisało się na nie ponad osiemset osób.

## FILOZOFIA JEST NIEPOTRZEBNA, JEŚLI NIE WYZWAŁA UMYSŁU OD CIERPIENIA

Cytat z Epikura zapisany na tablicy wyrażał myśl przewodnią wykładów Matthew.

Najbardziej zależało mu na tym, żeby jego zajęcia były przystępne, i nie obciążał studentów zawiłymi koncepcjami. Mówił o sprawach codziennych, zawsze zaczynał od przedstawienia konkretnego problemu z życia studenta: strach przed oblanie egzaminu, zerwanie z ukochanym czy ukochaną, bezlitosne spojrzenia innych, sens studiowania... Po przedstawieniu problemu odwoływał się do nauk Platona, Seneki, Nietzschego czy Schopenhauera i jego talent oratorski sprawiał, że słynne postacie opuszczały na chwilę strony podręczników i stawały się przyjaciółmi, zdolnymi udzielić ci

pożytecznej i podnoszącej na duchu rady.

Inteligentnie i z humorem Matthew wprowadzał również do wykładów wiele elementów kultury masowej. Popularne filmy, piosenki czy komiksy — wszystko było pretekstem do filozofowania. Nawet na seriale telewizyjne patrzył łaskawym okiem. *Doktor House* był przykładem rozumowania eksperymentalnego, rozbitkowie z serialu *Zagubieni* dawali pretekst do refleksji na temat umowy społecznej, a mężczy szowiniści w agencji reklamowej z serialu *Mad Men* zachęcali do dyskusji na temat ewolucji stosunków damsko-męskich.

Jeśli ta pragmatyczna filozofia uczyniła z niego gwiazdę kampusu, miała również stronę negatywną: wywołała zazdrość i irytację kolegów, którzy uważali, że Matthew jest powierzchowny. Na szczęście jego studenci jak dotąd wychodzili zwycięsko ze wszystkich egzaminów i konkursów.

Niektórzy sfilmowali nawet jego wykłady i wrzucili je na YouTube. Inicjatywa wzbudziła zainteresowanie dziennikarza z „Boston Globe”, który napisał na ten temat artykuł. Tekst przedrukował „New York Times” i w efekcie Shapiro został poproszony o napisanie „antypodręcznika” filozofii. Książka sprzedała się dobrze, ale młody profesor nie uległ presji rodzącej się sławy i był wciąż do dyspozycji swoich studentów. Niestety, tę piękną historię przerwało tragiczne wydarzenie: poprzedniej zimy Matthew Shapiro stracił żonę w wypadku samochodowym. Ta nagła śmierć go zdruzgotała. W dalszym ciągu prowadził zajęcia, ale już bez tak charakterystycznej dla niego pasji.

Erika zmrużyła oczy, żeby mu się lepiej przyjrzeć. Od tego dramatycznego wydarzenia coś się w Matthew załamało. Rysy jego twarzy stały się surowe, spojrzenie utraciło blask, zagościł

w nim smutek. A jednak mimo otaczającej go aury melancholii wciąż wydawał jej się niezwykle fascynujący. Przymknęła powieki i pozwoliła się nieść dźwiękowi niskiego, spokojnego głosu, który unosił się pod sklepieniem auli. Głos ten stracił nieco swego poprzedniego uroku, ale wciąż brzmiał kojąco. Przez szyby w oknach przenikały promienie słońca, rozgrzewając wielką salę i oświetlając środkowy rząd ław. Erika czuła się cudownie, kołysana niosącymi poczucie bezpieczeństwa tonami.

Jednak stan łaski nie trwał długo. Wkrótce ściągnął ją na ziemię dźwięk dzwonka ogłaszającego koniec wykładu. Nie śpiesząc się, zebrała swoje rzeczy i zaczekała, aż sala opustoszeje, żeby po cichu podejść do profesora Shapiro.

— Co pani tu robi, Eriko? — zapytał zdziwiony Matthew, gdy ją zauważył. — Przecież zaliczyła już pani te zajęcia w zeszłym roku. Nie musi pani przychodzić na moje wykłady.

— Przyszłam z powodu tego zdania Helen Rowland, które pan tak często cytuje.

Matthew zmarszczył brwi. Nie rozumiał.

— „Najbardziej żałuje się szaleństw, których się nie popełniło, kiedy się miało okazję” — powiedziała Erika i zdobywając się na odwagę, wyjaśniła: — Nie chcę się znaleźć w takiej sytuacji, więc zamierzam popełnić szaleństwo. W przyszłą sobotę są moje urodziny i chciałam... chciałam zaprosić pana na kolację.

Matthew otworzył szeroko oczy i od razu postawił sprawę jasno:

— Eriko, jest pani młodą inteligentną kobietą. Wie pani doskonale, że istnieje co najmniej dwieście pięćdziesiąt powodów, dla których pani odmówię.

— Ale ma pan ochotę się zgodzić, prawda?

— Niech się pani nie upiera, bardzo proszę!

Erika poczuła, jak się czerwieni ze wstydu. Wymamrotała słowa przeprosin i wyszła z auli.

Matthew westchnął i włożył płaszcz. Obwiązał szyję szalikiem i również wyszedł na teren kampusu.

□

Z połaciami zielonych trawników, majestatycznymi budynkami z czerwonej cegły, na których frontonach widniały łacińskie cytaty, Harvard miał w sobie szyk i ponadczasowość tradycyjnych anglosaskich uczelni.

Gdy tylko Matthew znalazł się na zewnątrz, skręcił sobie papierosa, zapalił go i szybko opuścił teren Sever Hall. Z torbą na ramieniu przeszedł przez Yard, wielki dziedziniec, którego troskliwie utrzymane trawniki przedzielone były kilometrami ścieżek prowadzących do sal wykładowych, bibliotek, muzeów i akademików.

Park skąpany był w pięknym jesiennym świetle. Od dziesięciu dni utrzymywała się wysoka jak na tę porę roku temperatura i świeciło słońce. Mieszkańcom Nowej Anglii trafiło się spóźnione, ale bardzo przyjemne babie lato.

— Panie psorze! Uwaga!

Matthew odwrócił głowę i zobaczył leącą w jego kierunku piłkę futbolową. Złapał ją w ostatniej chwili i posłał rozgrywającemu, który go ostrzegł.

Na wszystkich ławkach dziedzińca siedzieli studenci z laptopami na kolanach. Z trawników dobiegał śmiech i gwar ożywionych dyskusji. Tu bardziej niż gdzie indziej bezkonfliktowo mieszały się z sobą różne nacje — wielokulturowość była zdecydowanie uważana za walor.

Szary i bordo, kolory słynnej uczelni, widniały dumnie na kurtkach, bluzach czy sportowych torbach: w Harvardzie poczucie przynależności do grupy zacierало wszystkie różnice.

Przechodząc przed Massachusetts Hall, monumentalnym gmachem w stylu georgiańskim, w którym mieściła się dyrekcja oraz akademik dla studentów pierwszego roku, Matthew zaciągnął się papierosem. Na schodach budynku stała panna Moore, sekretarka rektora, która rzuciła mu wściekłe spojrzenie i przywołała do porządku („Profesorze Shapiro, ile razy mam panu powtarzać, że palenie na terenie kampusu jest zabronione!”), dołączając jakiś truizm na temat szkodliwości tytoniu.

Matthew patrzył przed siebie, na jego twarzy nie drgnął żaden mięsień, tak jakby nie widział ani nie słyszał sekretarki. Przez moment kusiło go, by odpowiedzieć jej, że śmierć byłaby dla niego w tej chwili wybawieniem, ale opanował się i wyszedł z kampusu przez wielką bramę na Harvard Square.

□

Harvard Square, na którym szumiało jak w ulu, był wielkim placem. Wokół niego mieściły się sklepy, księgarnie oraz różne małe restauracje i kawiarnie, gdzie studenci i profesorowie układali na nowo porządek świata lub kontynuowali przerwane zajęcia. Matthew pogrzebał w kieszeni i wyciągnął bilet miesięczny. Wszedł na przejście dla pieszych, żeby dostać się do stacji metra na linii Red, dzięki której można było przejechać przez centrum Bostonu w mniej niż kwadrans, kiedy na rogu Massachusetts Avenue i Peabody Street pojawił się nagle stary prychnący chevrolet camaro. Matthew aż podskoczył i musiał się szybko cofnąć, żeby nie zostać

rozjechanym przez jaskrawoczerwone coupé, które przyhamowało tuż przed nim z piskiem opon.

Szyba w oknie zjechała w dół i Matthew ujrzał rudą czuprynę April Ferguson, swojej lokatorki od czasu, gdy zmarła mu żona.

— Hej, przystojniaku, może cię podwieźć?

Warkot ośmiocylindrowego silnika nie pasował do tej „zdrowej” ekologicznie enklawy, po której jeździły tylko rowery albo samochody o napędzie hybrydowym.

— Wolę wrócić metrem — wymówił się. — Prowadzisz tak, jakbyś była awatarem z gry wideo!

— Och, nie zgrywaj tchórza! Wiesz, że świetnie prowadzę!

— Nie podpuszczaj mnie. Moja córka straciła już matkę. Nie chciałbym, żeby została całkowitą sierotą w wieku czterech i pół lat.

— Dobrze już, dobrze... Nie przesadzaj. No, pośpiesz się, blokuję przez ciebie ruch!

Symfonia klaksonów przybrała na sile. Matthew westchnął i wślizgnął się na siedzenie chevroleta. Ledwo zapiął pas, samochód, łamiąc kilka przepisów kodeksu drogowego, wykonał przy dużej prędkości niebezpieczny zwrot, po czym z piskiem opon odjechał na północ.

— Boston jest w przeciwnym kierunku! — zaprotestował, kurczowo trzymając się drzwi.

— Robię mały objazd przez Belmont. To tylko dziesięć minut drogi stąd. I nie martw się o Emily. Poprosiłam opiekunkę, żeby została z małą godzinę dłużej.

— Nie uprzedzając mnie o tym? Uważaj, bo...

Młoda kobieta zadziwiająco szybko przerzuciła dwa biegi i gwałtownie przyśpieszyła, przez co słowa uwięzły Matthew



w gardle. Kiedy samochód zaczął jechać normalnie, wręczyła mu teczkę z rysunkami.

— Wyobraź sobie, że być może znalazłam klienta na rycinę Utamaro — oznajmiła przejęta.

April prowadziła na South End galerię specjalizującą się w sztuce erotycznej. Miała prawdziwy talent do wynajdywania rzadkich dzieł sztuki i sprzedawania ich z niezłym zyskiem.

Matthew zsunął gumki przytrzymujące okładkę teczeki i zobaczył japońską rycinę troskliwie owiniętą kawałkiem materiału. Była to *shunga*\* z końca osiemnastego wieku przedstawiająca kurtyzanę z klientem, odbywających stosunek płciowy równie zmysłowy, co akrobatyczny. Dobitność sceny została złagodzona wdziękiem kreski i bogactwem wzorów na materiałach. Gejsza miała prześliczną twarz o niezwykle delikatnych rysach. Nic dziwnego, że taki rodzaj rycin wpłynął na sztukę i Klimta, i Picassa.

— Jesteś pewna, że chcesz się z nią rozstać?

— Dostałam propozycję nie do odrzucenia — odparła April, naśladując głos Marlona Brando z *Ojca chrzestnego*.

— Od kogo?

— Od jakiegoś wielkiego kolekcjonera z Azji, który zatrzymał się w Bostonie, żeby odwiedzić córkę. Najwyraźniej jest gotów do transakcji, ale będzie w mieście tylko jeden dzień. Podobna okazja może się szybko nie powtórzyć...

Chevrolet opuścił teren uniwersytetu i wjechał na trasę szybkiego ruchu, która ciągnęła się przez wiele kilometrów wzdłuż Fresh Pond — największego jeziora Cambridge — do Belmont, miasteczka na zachód od Bostonu. April wprowadziła

---

\* Erotyczna rycina japońska, tworzona zazwyczaj techniką drzeworytu.

adres do GPS-u, który skierował ją do sztywnej dzielnicy willowej, zamieszkaney przez majątne rodziny: obok szkoły okolonej szpalerem drzew znajdowały się wielki plac zabaw, park i boiska sportowe. Był tu nawet lodziarz z wózkiem, jakby prosto z lat pięćdziesiątych. Mimo wyraźnego zakazu chevrolet wyprzedził autobus szkolny i zaparkował przy spokojnej uliczce biegnącej między domami.

— Idziesz ze mną? — spytała April, biorąc od niego teczkę.

Matthew pokręcił głową.

— Wolę zaczekać w samochodzie.

— Postaram się załatwić to jak najszybciej — obiecała, spoglądając w lusterko wsteczne, żeby poprawić fryzurę. Zostawiła lok, który opadał i zasłaniał jej prawe oko, tak jak u Veroniki Lake.

Potem wyjęła z torby szminkę i umalowała usta. Najwyraźniej stylizowała się na femme fatale, więc jeszcze zapięła ciasno przylegającą do wydekoltowanego T-shirtu czerwoną skórzaną kurtkę.

— Nie przesadzasz przypadkiem? — rzucił prowokująco.

— „Nie jestem zła, tak mnie po prostu narysowali”

— odparła, naśladując głos Jessiki Rabbit z filmu *Kto wrobił królika Rogera*.

Potem wyprostowała swoje niebotycznie długie nogi w legginsach i wysiadła z samochodu.

Matthew patrzył, jak podchodzi do największego domu przy tej ulicy i dzwoni do drzwi. W dziesięciopunktowej skali zmysłowości przyznałby jej najwyższą notę: miała idealne wymiary, talię osy, piękne piersi — ale to wcielenie męskich fantazji wołało kobiety. April wręcz obnosiła się z tym, że jest lesbijką.

Był to zresztą jeden z powodów, dla których Matthew zgodził się, żeby u niego zamieszkała: wiedział, że nie będzie między nimi żadnych dwuznacznych sytuacji. A poza tym April była zabawna, inteligentna i sprytna. Oczywiście, miała charakterek, często klęła i zdarzały jej się napady złości, ale jak nikt potrafiła przywołać uśmiech na twarz jego córeczki, a to dla Matthew było bezcenne.

Popatrzył na drugą stronę ulicy. Dwoje dzieci rozwieszało w ogródku świąteczne dekoracje pod czujnym okiem matki. To uświadomiło mu, że za niecały tydzień będzie Boże Narodzenie. Wpadł w panikę. Bardzo bał się pierwszej rocznicy śmierci Kate, która zginęła dwudziestego czwartego grudnia 2010 roku, zmieniając jego życie w pasmo udręk.

Przez trzy pierwsze miesiące po wypadku cierpiał bez przerwy, każda sekunda niszczyła go bardziej od poprzedniej. Miał w duszy żywą ranę, jakby ukąsił go wampir, wysysając z niego całe życie. Wiele razy myślał o radykalnym rozwiązaniu: mógłby wyskoczyć przez okno, powiesić się, wypić koktajl środków nasennych, przyłożyć lufę do skroni i pociągnąć za spust... Ale powstrzymywał się, wiedząc, że wyrządziłby krzywdę Emily. Nie miał po prostu prawa pozbawić dziewczynki ojca i zniszczyć jej życie.

Bunt, jaki odczuwał przez pierwsze tygodnie, ustąpił długiemu okresowi smutku. Życie zatrzymało się w miejscu, ogarnął go stan ciągłego znużenia, pogrążył się w rozpacz. Nie walczył, był przybity, zamknął się w sobie. Nie mógł się pogodzić ze stratą Kate. Nie widział dla siebie przyszłości.

Za radą April zdobył się jednak na wysiłek i zapisał do grupy wsparcia. Poszedł na zajęcia terapeutyczne, spróbował ubrać w słowa to, co odczuwał, i podzielić się z innymi swoim bólem,

po czym nigdy więcej tam nie wrócił. Nie chciał narażać się na fałszywe współczucie, na wysłuchiwanie komunałów i lekcji życia. Odizolował się od ludzi. Przez całe miesiące czuł się jak własny duch błędzący bez celu.

Niemniej od kilku tygodni czuł się inaczej. Nie to, żeby wróciła do niego radość życia, ale miał wrażenie, że ból się powoli zmniejsza. Poranki po obudzeniu się nadal były trudne, lecz gdy w końcu lądował na uczelni, umiał zachować się tak jak kiedyś, prowadził zajęcia, uczestniczył w zebraniach, na których robiono plany na najbliższą przyszłość, z mniejszym niż dawniej zapalem, to prawda, ale odnosił wrażenie, że powoli łapie grunt pod nogami.

Nie była to w stu procentach odbudowa samego siebie, raczej stopniowe godzenie się z tym, co się wydarzyło. Przy tym wspierał się pewnymi conceptami, które wykładał studentom. Stoickie przyjęcie wyroków losu, buddyjska akceptacja przemijania. Od tej pory nie oczekiwał zbyt wiele od życia, postrzegał je jako coś wyjątkowo niepewnego i nietrwałego, proces podlegający ciągłej ewolucji. Wszystko jest ulotne, zwłaszcza zaś szczęście. Nie należy uważać go za swoją własność, trwa czasem jedynie chwilę.

To dzięki drobiazgom — przechadzce z Emily w promieniach słońca, meczowi piłki nożnej z grupą swoich studentów czy udanemu żartowi April — wracał powoli do życia. Te drobne z pozoru zdarzenia pomagały mu trzymać cierpienie na dystans, odgradzić się tamą od jeziora smutku.

Ale jego kondycja psychiczna wciąż pozostawiała wiele do życzenia, bo cierpienie czyhało za każdym rogiem, gotowe rzucić mu się do gardła. Niewiele trzeba było, żeby wytrącić Matthew z równowagi i szarpnąć jego duszą. Napływała

wówczas fala wspomnień. Jakaś kobieta w metrze używająca tych samych perfum co Kate albo w podobnym płaszczu, piosenka w radiu, która przypominała o szczęśliwych dniach, zdjęcie, które wypadło spomiędzy stronic książki...

Ostatnie dni były bardzo przykre i zapowiadały nawrót depresji. Zbliżająca się rocznica śmierci Kate, dekoracje bożonarodzeniowe i przedświąteczna gorączka — wszystko to zmuszało go do myślenia o zmarłej żonie.

Od tygodnia budził się w środku nocy z sercem łomoczącym w piersi, zlany potem, bo wciąż powracało do niego koszmarne wspomnienie ostatnich chwil jej życia. Matthew był świadkiem, jak Kate przewieziono do szpitala, w którym jej kolegom lekarzom nie udało się przywrócić akcji serca rannej. Widział, jak śmierć brutalnie zabiera mu ukochaną kobietę. Byli doskonale szczęśliwi, ale głębokie wzajemne porozumienie trwało tylko cztery lata — ich historia dopiero się zaczęła, lecz nie było im dane jej przeżyć. Wierzył, że taka miłość, jaka go spotkała, zdarza się w życiu tylko raz. Myśl o tym była nie do wytrzymania.

Ze łzami w oczach zauważył, że bezwiednie obraca obrączkę, którą wciąż nosił na serdecznym palcu. Był spocony i serce waliło mu jak oszalałe. Opuścił szybę w drzwiach samochodu, poszukał środka uspokajającego w kieszeni dżinsów i wsunął tabletkę pod język. Lekarstwo rozpuściło się powoli, przynosząc mu ulgę. Chemia rozluźniła napięcie w kilka minut. Zamknął oczy, potarł powieki i głęboko odetchnął. Żeby zupełnie się uspokoić, potrzebował jeszcze papierosa. Wysiadł, zamknął samochód i przeszedł kilka kroków po chodniku, zanim zapalił, zaciągając się głęboko. Gdy do gardła dotarł gorzki smak nikotyny, Matthew poczuł się zdecydowanie lepiej. Serce

również się uspokoiło. Zamknął oczy, wystawiając twarz na jesienny wiatr i słońce, które prześwitywało przez gałęzie drzew. Było zadziwiająco ciepło. Kilka chwil stał nieruchomo, po czym otworzył oczy. Na rogu ulicy zobaczył zbiegowisko. Zaciekawiony podszedł bliżej. Miał przed sobą typowy dla Nowej Anglii dom z drewnianym sidingiem, dachem jak katedra i zbyt dużą liczbą okien. Na trawniku od frontu zorganizowano garażową wyprzedaż — zjawisko charakterystyczne dla kraju, w którym mieszkańcy przeprowadzali się co najmniej piętnaście razy w życiu.

Matthew dołączył do ciekawskich, którzy oglądali różne przedmioty wyłożone na stu metrach kwadratowych trawnika. Sprzedaż prowadził mężczyzna w jego wieku, łysawy i w małych kwadratowych okularach, o ponurym wyrazie twarzy i rozbieganim wzroku. Od stóp do głów ubrany był na czarno, a surowość jego stroju przywodziła na myśl kwakra. Obok niego bawił się lateksową kością piaskowy *shar pei*.

Po trawniku kręciło się sporo ludzi, o tej porze dzieci wychodziły ze szkoły, innych wyciągnęła z domów ładna pogoda. Na stołach rozłożono różności: drewniane ramki, torby do golfa, kij baseballowy w komplecie z rękawicą, starą gitarę marki Gibson... Nieco dalej o płot opierał się rower BMX, tradycyjny prezent gwiazdkowy z lat osiemdziesiątych, a obok niego wrotki i deskorolka. Matthew przyglądał się przez kilka minut. Zauważył komplet zabawek, które przypomniały mu dzieciństwo: jo-jo z jasnego drewna, kostkę Rubika, „Hipcie obzartuchy”, *mastermind*, frisbee, wielką pluszową zabawkę wyobrażającą małego przybysza z kosmosu z filmu Stevena Spielberga *ET* i jakąś postać z *Gwiezdnych wojen*.

Ceny były bardzo niskie — najwyraźniej sprzedający chciał

pozbyć się jak najszybciej jak największej liczby przedmiotów.

Matthew już odchodził, kiedy w oko wpadł mu laptop, MacBook Pro z piętnastocalowym ekranem. Nie była to ostatnia wersja tego modelu, ale poprzednia, a może nawet jeszcze wcześniejsza. Podeszedł bliżej i przyjrzał się dokładnie komputerowi. Na aluminiowej obudowie były właściciel nakleił winylową nalepkę z rysunkiem w stylu Tima Burtona: seksowna Ewa trzymająca w dłoniach nadgryzione jabłko — logo słynnej marki. Na dole widniał podpis „Emma L.”, nie było wiadomo, czy to podpis autorki rysunku, czy poprzedniej właścicielki laptopa.

Dlaczego nie? — pomyślał, patrząc na etykietkę. Jego stary PowerBook wyzionął ducha pod koniec lata. Miał co prawda w domu pecet, ale potrzebował nowego laptopa. Od trzech miesięcy wciąż odkładał ten zakup na później.

MacBook kosztował czterysta dolarów. Matthew uznał, że to rozsądna cena. Dobrze się składało, bo w tym momencie nie był w najlepszej sytuacji finansowej. Pensję profesorską miał niezłą, ale po śmierci Kate za wszelką cenę chciał zachować dom w Beacon Hill, nawet jeśli nie za bardzo było go teraz na niego stać. Zdecydował się na lokatora, lecz nawet z tym, co płaciła mu April, miesięczne raty kredytu pochłaniały trzy czwarte jego dochodów i zostawało mu niewiele na życie. Musiał nawet sprzedać swój zabytkowy motocykl, triumpha z 1957 roku, z którego kiedyś był bardzo dumny.

Podeszedł do sprzedawcy i wskazał palcem na maca.

— Ten laptop działa?

— Nie, to dekoracja... Jasne, że działa, gdyby nie działał, nie sprzedawałbym go za tę cenę! To stary sprzęt mojej siostry, ale sformatowałem twardy dysk i zainstalowałem system. Jest

jak nowy.

— Zgoda, biorę go — rzucił Matthew po chwili wahania.

Pogrzebał w portfelu. Miał przy sobie tylko trzysta dziesięć dolarów. Zażenowany, próbował się targować, ale mężczyzna nie chciał zejść z ceny. Urażony Matthew wzruszył ramionami. Odwrócił się i zamierzał odejść, gdy usłyszał za plecami wesoły głos April.

— Poczekaj, to będzie prezent ode mnie! — zawołała, machając do sprzedawcy ręką.

— Nie ma mowy!

— Żeby uczcić sprzedaż mojej ryciny!

— Dostałaś kwotę, której zażądałaś?

— Tak, ale nie bez trudności. Facet myślał, że za tę cenę ma również prawo do przeciwiczenia tych pozycji *Kamasutry* z ryciny.

— „Wszystkie nieszczęścia mężczyzn spowodowane są tym, że nie potrafią zachować umiaru w sypialni”.

— Woody Allen?

— Nie, Blaise Pascal.

Sprzedawca wręczył mu komputer w oryginalnym markowym opakowaniu. Matthew podziękował skinieniem głowy, podczas gdy April płaciła. Potem szybko wrócili oboje do samochodu.

Matthew nalegał, by tym razem pozwoliła mu prowadzić. Kiedy tuż przed Bostonem utknęli w korku, nawet nie pomyślał, że ten zakup kompletnie odmieni jego życie.